

Janina Nowacka z domu Leśkiewicz / 7. VIII 1907 - 4. V 1956 /

Janina Leśkiewicz urodziła się w Kobryniu w 1907 roku w rodzinie inteligentnej. -

W 1937 poślubiła Stanisława Nowackiego (ur. 18. I 1908 poległ 14. I 44), syna dr. med. Ludomira Nowackiego i Wandy z Baquiewskich. Stanisław wraz ze starszym bratem Wacławem wstąpił do służby zawodowej w lotnictwie wojskowym. Wacław, w 1928 zginął w katastrofie lotniczej, jako podporucznik pilot. Na prośbę rodziców Stanisław wystąpił z lotnictwa, ukonieczył Wyższą Szkołę Handlową w Warszawie i prowadził własną firmę. W 1937 kupił majątek ziemski Gaj, ~~Wąsów~~ na Polesiu. W tym samym roku poślubił Janinę Leśkiewicz i razem zamieszkał w tym majątku. Tam też 11. IV 1939 urodził się im syn Jerzy Andrzej Nowacki.

Po kampanii 1939 Stanisław przedostał się do Francji a po jej upadku do Anglii, gdzie służył <sup>(w)</sup> polskim lotnictwie bombowym podległym RAF.

Janina, mieszkała w maj. Gaj z synem, w momencie wkroczenia wojsk sowieckich do Polski. W lutym 1940 została wywieziona z 10 ci miesięcznym dzieckiem do obozu pod Archangielskiem.

~~W...~~, jej wspomnienie p. t. "Dzień -

-jeden z wielu".

Dzięki akcji gen. Andersa, przedostał się z Jerzym oraz polską ludnością cywilną do Persji. Stanisław odnalazł ją tam przez Czerwoną Krew. Wyrobił wizę wyjazdową do Anglii, bilety na statek. Po drugiej podróży przez Irak, Palestynę i Egipt, oraz statkiem Almazora, w końcu grudnia 1943 przybył z synem do Glasgow, gdzie Stanisław na nich czekał. Zamieszkała przy lotnisku. W tym czasie Stanisław miał przydział jako porucznik pilot do 304-go dywizjonu bombowego „Ziemie Śląska”, który pełnił służbę „Coastal Command” (Obrona wybrzeża). W dniu 14 stycznia 1944, Wellington dowodzony przez Stanisława Nowackiego nie powrócił do bazy. Ciało zostało odnalezione dopiero 4 lutego w zatoce Bristolskiej. Pochowany jest na cmentarzu R.A.F. w Plymouth. —

Janina, zamieszkała w Londynie, poszukując rodziny, trafiła na nazwisko Wandę Bażniewskiej ciotecznej siostry Stanisława i nawiązała z nią kontakt, który zmienił się w serdeczny <sup>stypendyjny</sup> przyjaźń. Serce jednak nie wytrzymało jej tragicznych losów. Przewracając się bliżej śmierci prosiła o opiekę nad Jerzym. Wanda, żona Sarnecka, wywiązała się przyjmując Jozego jak własne dziecko, aż do stypendium, które umożliwiło studium na uniwersytecie. — Po ośmiu dniach Jerzy utrzymuje z ciotką Wandą serdeczne <sup>rodzime</sup> stosunki. — Bażniewska

Janina Nowicka

konkret

Jan Bagwinski  
ul. Długa 31 m. 14  
00-238 Warszawa  
tel. 831-69-59

Dzień..... jeden z wielu.

Jest 25 grudnia 1940 roku. Ciemno i zimno. I tak trudno pozbierać obolałe kości. Aby zsunąć się z desek tapczanu i wstać. Nie obudzić dziecka. Jest przecież piąta rano. Przy wprawie nawet sznurki łapci nie płaczą się. Leciutko - żeby tylko nie obudzić - pocałować czółko i ..... w drogę.

Ciemno. Zorza już zgasła. Na ciemnym sza firze nieba tak bardzo wysoko - skrzą gwiezdy. Naokoło niepokojąca i śliska biel zmarzłego śniegu. Na lewo ciemna masa baraków, na prawo otchłań bieli, którą się raczej czuje niż widzi. Trzeba wyczuwać ścieżkę w tej białej ciemności. Czas jeszcze, żeby wstąpić na tałery zupy do stołówki. Gorąca woda, na dnie trochę jaglanej kaszy. Raz była "kuriatina". - Zupa z kury. Musiała to być kura, bo w mojej porcji znalazłem autentyczne kurcze piórko.

Łapcie skrzypią i ślizgają się po zlodowiałej powierzchni. Tak to most. Na prawo majączy stajnia. Nareszcie światło. Jak dobrze, że uprząż - od niedawna coprawia - nosi się do suszarni. Nie jest już sztywna jak przedtem, ale giętka i ciepła. Stara szkapa o imieniu tak boleśnie nieharmonizującym z jej wyglądem - Groza - odwraca do mnie umęczoną głowę. Potem schyla ją i pcha w podany jej chomąt. Groza jest siwa od szronu, w rzeczywistości jest gniada. Wychodzimy w ciemność. Znajduję swoje sanie po mnie tylko wiadomych znakach. Ręce marzną i grabię przy zakładaniu hołobli i dociąganiu suponów. Gotowe. Można teraz włożyć płócienne rękawice.

Trudno jest lawirować między gromadą poruszających się w ciemnościach san. Tymbardziej, że za każdym ciągną się przychepione łańcuchami podsanki, które można przybliżyć i oddalać zależnie od długości przewożonego drzewa.

Nareszcie sznur sani wysuwa się na drogę i w las. Teraz można wziąć lejce między kolana i zwinąć papierosa. Kawałek gazety - szczypta ma chorki. Pali się to nie wyciągając z ust aż zacznie parzyć wargi.

Skręt. Koń zna drogę. Raczej czuję niż widzę gałęzią sosen i świerków zwisaające nademną. Są ciężkie od śniegu. Jak tu musi być ciśnie w dzień. Ale teraz jest ciemno. Po pół godzinie las rzednie. Dojeżdżamy do wyrąbanych działek i sanie - pędem rozjeżdżają się do swoich brygad. Moja - jak i inne liczy 5 osób: czterech "zroszczyków" i "nawalszczyk". Ten ostatni jest rosjaninem. Na mojej działce stoją już jedne sanie. Poznaje po sylwetce Mańkę. Podchodzę bliżej. Mańka płacze: "Co ja tu robię! Pierwsze święto!....." Mańka ma 17 lat. Przywieźli ją tu z bratem i starszymi rodzicami. - Nie płacz Mańka. Szkoda łez. Zmarzną. Weś się w garść. Nic nie poradzisz.....

Przyjeżdża reszta san. Ładujemy wygrzebane ze śniegu sosny, świerki, modrzewie, brzozy. Jak leci..... Wyjechać z działki na drogę nie jest łatwo. Wymijać pleńki ukryte w głębokim nieubitym śniegu, żeby nie wywrócić san ani podsanek, albo nie zaczepić łańcuchami. Nie wywrócić choćby dlatego, żeby nie słyszeć klątw nawalszczyka, który w jednym zdaniu może pomieścić niewiarygodną ilość najobrzydliwszych słów. Droga. Brnę obok san w głębokim sykim śniegu.

Pierwszą furę wiezie się z rozpaczą w duszy i abnegacją, drugą w oczekiwaniu szarego światła dnia, trzecią z nadzieją, że to tylko jeszcze jedna do przerwy obiadowej i ciepła ogniska.

Przed wjechaniem na pomost t.zw. Estakadę, z której zrzuca się drzewo na poszczególne działy zwałki, trzeba się zatrzymać przed stanowiskiem Saszki. Saszka jest dziesiętnikiem. Zapisuje ile kto drzewa przywozi. W blasku ogniska

Saszka wygląda jeszcze straszniej niż za dnia. Niski, krępy, garbaty okropnie, z twarzą złośliwą i wyrazem nienawiści w oczach. Quasimodo. Nigdy go inaczej w myśli nie nazywałam.

Robi się szary dzień. Nie można powiedzieć, żeby dnia nie było wcale. Czasem nawet jest słońce. Wygląda blade i bez blasku zaledwie ponad horyzont dalekiej poręby, jakby zdziwione, że w tych bezkresnych zaśnieżonych lasach pracują ludzie i nie umierają. Po to tu przecież zostali przywiezieni. Nietylko nie umierają, ale nawet czasem śpiewają. To Maryśka śpiewa tęskne poleskie piosenki. Słońce się chowa prawie natychmiast, jakby chciało tylko pokazać, że jest. Obiad przywozi Marusia. Kasza jest gorąca choć nieokraszona. Konie stoją szeregiem przy żłobach z wyskubanym z Marusi sanek sianem. Kto zdąży wyskubać. Groza rozkiełznana je.

Przy ciepłe ogniska topnieje śnieg nabity w łapbie i w najmniejszą szczelinę ubrania. Nie myśli się o tym, że wszystko to potem zamarźnie na drzewo. Jest ciepło. Pół godziny mijają przedko. I znowu w las. Jeszcze dwie fury za rżnię. Ostatnia znowu po omacku i na instykt konia.. Teraz czeka się ciemności, a z nią końca roboty.

Ostatni nawrót. Na estakadzie ledwie mającą sylwetki zwalzczyków. Mijają mnie sanie tych, co już jadą do domu. Jeszcze ostry skręt i wjazd na post. Ale tu Groza przypomina sobie nagle czasy zamierzchłej młodości i najnie rozsądniej w świecie buntuje się. Zna już jeden trick, który da jej parę minut wypoczynku. Staże, a uderzona kijem do ładowania drzewa (anszpukiem) - cofa się aż chomąt wsuwa się jej na uszy i raptownie rzuca się na przód. Wie, że wtedy rozwiąże się zamrznięty supoń, ~~zawieszony~~ chomąt się rozluźni i hołoble wypadają z łożew. Wie, że zamarznięta uprzęż jest sztywna jak drzewo, że zawiązanie spowrotem suponia jest niemal niepodobieństwem. O Grozo! A potrafiłaś taką sztukę powtórzyć i dwa i trzy razy.

Po robocie byłaś taka zrezygnowana, że nawet nie śpieszyło ci się do stajni. Raz - pamiętam - pędziłaś jak wiatr, kiedy lejce wzięła w ręce kto inny ..... i zaklął. Toś rozumiała. Pędziłaś tak, żeś nas omal nie zabiła na "czortowej jolce". Gwałtowny zjazd i ostry skręt i ta jodła, na którą się podsanki zarzucały.

I znowu czuję ciężkie kiście ośnieżonych gałęzi zwisające sztywną nademną. Stażnia. Groza uwolniona ze zamarzniętej uprzęży i wytarta zabiera się do siana. Jutro znowu się zobaczymy.

Droga do domu wydaje się tak strasznie daleka. Stopy nie zginają się. Każda jest bryłą lodu. Nie można iść cicho przez ~~drewnian~~ korytarz. Kroki może rozlegają się echem.

Wchodzę do mieszkania. I tu znajduję słońce. Maleńka figurka podbiega do mnie trzymając w wyciągniętej ręczynie suche trepy. - Mama mas!-

Londyn, 1950 r.

Janina Nowacka

## WSPOMNIENIA Z LAT DZIECINNYCH

Wywieziono nas do Archangielska w lutym 1940; miałem 10 miesięcy, więc nic z podróży nie pamiętam. Z opowiadań tylko pamiętam że wielu umarło po drodze i że jedliśmy psy. Sam mam ~~dwie~~ <sup>dwie wspomnienia</sup> pamięcie z ZSSRu.

Pierwszą jak Matka była chora, i pamiętam pokój i łóżko w którym leżała, i nawet kolor koców, i to że ryczałem. Pamiętam że byłem bardzo nieszczęśliwy i bałem się. Mama mi później opowiadała że kiedyś przy mnie powiedziała że "chyba zdechnie w tym parszywym kraju" i że jak była chora to ryczałem "Mama, nie zdychaj!" Co jej było, to nie wiem, ale miała rozmaite dolegliwości, zapalenie kregostupa (3 dni wolne, a potem lekka praca; rąbanie drzewa.), pelagry, rozmaite awitaminozy, itd.

### Dругие wspomnienia

Druga pamięć było przy wyjeździe z Rosji pociągiem w początku 1942. Na jakimś dworcu kocioł w parowozie wybuchł i sparzył kierowcę którego wynieśli na noszach okryty krwią i ryczący z bólu.

W ciągu tej podróży, Mama mnie zgubiła przez <sup>określenie</sup> trzy dni. Zapewniła się że pociąg dopiero następnego rana wyjeżdża i poszła stanąć w kolejce na coś do jedzenia zostawiając mnie <sup>spiaczo</sup> ~~spacym~~ w pociągu.. W międzyczasie, pociąg odjechał ze mną i Mama goniła go innymi pociągami przez trzy dni zanim mnie znalazła w opiece żołnierzy polskich i nie specjalnie przejęty jej nieobecnością.

Z Teheranu mam więcej wspomnień; przyjechalismy w 1942, bodaj że w lutym. Mieszkaliśmy w namiotach co w lecie było przyjemnie, a w zimie, gdy było metr śniegu, nie tak wesoło. <sup>Wspomnienia</sup> Pamięci z Teheranu mam przyjemne; masę towarzystwa w moim wieku i atmosfera bardzo rodzinna. To że wszyscy chorowali regularnie na malarię i że Tózka były opchłone i że jedzenie nie było obfite, nie miało wielkiego znaczenia. (Do dziś dnia pamiętam pierwsze jajko jakie ~~miałem~~ <sup>zjadłem</sup> i ser kanadyjski z Czerwonego Krzyża)

Po dostaniu wizy i biletu do Anglii od Ojca który nas odnalazł przez Czerwony Krzyż, pojechalismy ciężarówkami przez Irak, Palestynę, Egipt i statkiem Almanzora do Glazgow gdzie nas Ojciec spotkał i zawiózł (pewno pociągiem) do Kornwalii gdzie był jego dywizjon. Nie wiele pamiętam z podróży, tylko że była długa i było gorąco i duszno i dawali nam tabletki soli i kazali masę wody pić.

Dowiedziałem sie wiele lat później ze nasz statek Almanzora, podczas następnej podróży był zatopiony przez torpedę.

Pamięci o Ojcu sa bardzo skromne bo zginął miesiąc po naszym przyjeździe i przez ten czas był na służbie.

Londyn, kwiecień 1994

J. A. Nowacki